Nr. 30. We Lwowie dnia 26. lipca 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

EDMUND GONCOURT.

Realizm francuski jest to dziwne dziecię, którego rodzica odszukać — bardzo trudno. Nie z powodu, iżby do ojcowstwa tego nie chciał się nikt przyznać, owszem pretendentów było i jest wielu, lecz literacka opinia publiczna odrzucała jednego po drugim. Najpowszechniejszy, ale też najpłytszy sąd, godnością tą wieńczy skronie Emila Zoli, drudzy w poszukiwaniu tem sięgają na drugi brzeg kanału La Manche i w Dickensie upatrują pierwowzoru francuskich realistów, co nie przeszkadza innym jeszcze, stojąc na gruncie francuskim, cofnąć się w tej genealogii do Honorjusza Balzaca. Pod wpływem głośnych krytyków i krytyk, przez pewien czas Gustawowi Flaubertowi przyznawano tytuł protoplasty realistów, aż wreszcie ze zmieniającą się modą i on zdetronizowany został. Dzisiejsza moda bowiem, na ołtarzu, na którym po kolei tyle postaci się zmieniało, stawia podwójne bóstwo: braci Juliusza i Edmunda Goncourtów.

Obecnie zgasła właśnie pierwsza, większa i świetniejsza z dwóch gwiazd tej dziwnej konstelacji, starszy z braci, Edmund. Przeżywszy Juliusza o lat 26 zeszedł on do grobu, otoczony sławą, której melodję myśl mu jedynie psuła, że brat Juliusz zamknął na wieki oczy, nie doczekawszy się jej...

Chcąc skreślić sylwetkę duchową Edmunda, niepodobna nie mówić o Juliuszu, w pierwszym bowiem okresie twórczość obu stopiła się do tego stopnia razem, że już nie książki, nie strony jednej, ale jednego wiersza w ich dziełach nie ma, któryby nie był wspólną własnością duchową obu braci.

Jeżeli więc bracia Goncourtowie sławni są przez swój talent, przez swą metodę pisarską, to niemniej sławnymi ich czyni ta miłość braterska i ta bezprzykładna wspólność autorska.

Sieroctwo było tą siłą, która z dwóch braci jedną duchową uczyniła istotę. Edmund bowiem miał lat zaledwo dwanaście, kiedy ich odumarł ojciec, jeden z najlepszych oficerów wielkiej armii, wojak pokryty ranami. Do tego ojca Edmund wracał nieraz później myślą, lecz w pamięci z lat dziecinnych już jego twarzy przypomnieć sobie nie mógł, a „pamiętał tylko rękę jego o niewypowiedzianej chudości, która spoczywała na przykryciu łóżka, a którą mu całować kazano“...

Pozostała wdowa z dwojgiem dzieci. „Widzę moją matkę — pisze Edmund w swoich pamiętnikach — w latach, kiedy cofnąwszy od świata, nigdzie już nie bywała, stawszy się czułą wychowawczynią mego brata. Widzę ją znowu w jej małomieszczańskiej sypialni z jej starymi, familijnymi meblami i zegarem wahadłowym. Moja matka trzyma książkę albo robótkę w ręku, nagle opuszcza ją na kolana i zatapia się niemem spojrzeniem w swem pięknem dziecku, w tym małym uczonym, kochanym, uwielbianym synu, który ducha i wesołość wnosił w rodziny zaprzyjaźnione, gdzie go prowadziła, a na którego widok serce jej wzbierało. Widzę ją wreszcie, moją biedną matkę na zamku Magny, na łożu śmiertelnem w chwili, kiedy stuk grubych butów wiejskiego proboszcza, który jej ostatnich sakramentów udzielał, dał się słyszeć na schodach; widzę ją, jak nie mając już siły, aby przemówić, składa rękę mego brata w moje ręce z niezapomnianem spojrzeniem matki, którą trwoga pożera, co też będzie z tego młodzieńca, którego u wstępu jego życia bez przewodnika i bez kierownika pozostawia?“

Juliusz Goncourt jednak nie pozostał sierotą, Edmund stał się dla niego nietylko bratem,

ale przyjacielem, najczulszym piastunem, matką niemal, mistrzem, wspólnikiem i wielbicielem. Posiadając niewielki mająteczek, przynoszący 12 do 15 tysięcy franków rocznie, bracia mogli żyć spokojnie, oddali się więc ulubionym studjom. W rok po śmierci matki puścili się w pieszą podróż po Francji, zbierając szczegóły do dziejów XVIII. wieku, rysunki, obrazy ulubionych mistrzów, japońszczyznę i to wszystko z dziedziny sztuk, co im 22-letnie wspólne braterskie pożycie wypełniło.

Bo Goncourtowie byli artystami wszechstronnymi: rytownikami, malarzami, historykami, monografistami i wreszcie przedewszystkiem powieściopisarzami.

Pierwsza ich powieść „Charles Demailly", mająca za przedmiot życie literackie Paryża, gdzie można się doszukać sylwetek wytwornego towarzystwa literackiego, w którem żyli, a więc Teofila Gautiera, Flauberta, Saint Victora, Teodora de Banville i innych, jak wogóle wszystko, co z pod ich pióra wyszło, było ich wspólną duchową własnością.

Długo dla publiczności, obserwatorów i krytyków ten sposób dziwnej wspólnej twórczości obu braci był niezrozumiałym, choć każdy od razu spostrzegał, jak owa współka dalece różni się od zwyczajnych spółek literackich, które się tak często pojawiają na afiszach lub okładkach książek. Wreszcie tajemnicę tej techniki aktorskiej odkrył Edmund w liście do Jerzego Brandesa, który owo wyznanie zużytkował w swoich „Umysłach współczesnych".

„Zgodziwszy się co do planu — pisze starszy z Goncourtów — omawialiśmy jeszcze przy cygarze, przez godzinę lub dwie, rozdział albo raczej ustęp, który właśnie napisać należało; następnie pisaliśmy go każdy w osobnym pokoju; potem odczytywaliśmy to, co każdy z nas napisał i albo wybieraliśmy bez żadnych dyskusyj kompozycję lepszą, albo też wyjmowaliśmy z obu kompozycyj części najlepsze i składaliśmy z nich jedną. Ale nawet w razsie, jeżeli opracowanie tylko jednego z nas zostało przyjętem, w ostatecznem wykończeniu, w wygładzeniu ustępu, współdziałaliśmy obaj, bodaj przez dodanie jakiegoś przymiotnika, wtrącenie lub powtórzenie jakiegoś zwrotu itp."

W ten sposób powstało napisanych wspólnie przez obu braci wszystkich sześć powieści, wśród których najwybitniejsze miejsce zajmują: „Germinie Lacerteux", historja życia biednej, ale dobrej i uczciwej, stopniowo oddającej się pijaństwu i rozpuście służącej i „Madame Gervaisais", dzieje damy światowej, wysoce wykształconej, która pod wpływem wrażeń nerwowych w Rzymie, umiera wreszcie jako fanatyczna katoliczka. Powieściom tym, o ile sądzić można z odrębnych rysów obu braci, Edmund dawał ścisłość, głębokość obserwacji, pracę, Juliusz wykonanie i polot. Metoda była wspólną i ona im sławę zyskała.

„Bracia Goncourtowie — pisze Brandes w „Umysłach współczesnych" — wnieśli do powieści tę samą (co w pracach historycznych) staranność w sumiennem oddaniu rzeczywistości, to samo dążenie, aby nie przeoczyć najdrobniejszych nawet rysów, stanowiących podstawę wrażeń zmysłowych, wreszcie tę samą predylekcję do badania duszy kobiecej... Powieści te są najbardziej typowymi wytworami naszej przecywilizowanej epoki".

Takim jest sąd o Goncourtach znakomitego krytyka duńskiego, sąd krótko ujęty i oczyszczony ze wszystkiego, co mogłoby mu nadawać cechę entuzjastycznego uwielbienia pisarskiej pary. Wobec Goncourtów bowiem ciekawość lekarza, sekcjonującego ciało, byłaby na miejscu, ale nie entuzjazm. Stanowią oni niewątpliwie jedno z najbardziej interesujących dla badacza zjawisk, ale jako wytworni lecz chłodni pesymiści nie potrafią porwać czytelnika. Dzieci przecywilizowanej i przerafinowanej epoki, równie dobrze jak się ich uważa za ojców duchowych realizmu, mogą być właśnie wskutek przerafinowania owego ojcami dekadentyzmu. Umieli oni służyć wiernie swojemu ideałowi, aż do pogardy sławy i zaparcia się, ale ten ich ideał to jak zimny księżyc wobec słonecznego pojęcia poezji, jakieśmy odziedziczyli po naszych wielkich poetach poezji, której zadaniem wcisnąć się wszędzie, „zawędrować i pod wieśniacze strzechy", i być tam promieniem szczęścia. W przeciwieństwie do tego pojęcia sztuka Goncourtów jest z gruntu arystokratyczna. Poeta, według nich, człowiek, który „łapie motyle w kałamarz", ma uważać za piękne to, „co służącej i kochance jego instynktownie wyda się obrzydliwem".

Czyż bardzo się dziwić wypada, że z tem pojęciem poety i poezji, z ich zamiłowaniem do japońszczyzny, z całem przerafinowaniem, Maksowi Nordauowi Goncourtowie posłużyli jako jeden z przykładów do zwyrodnienia naszych czasów?

„Poetycki ten impresjonizm — pisze on z powodu Goncourtów — jest przykładem owego atawizmu, który jest osobliwszą cechą życia duchowego u zwyrodniałych. Sprowadza myślenie ludzkie do jego zwierzęcych początków, a działalność artystyczną z dzisiejszych jej wyżyn do stanu zarodkowego, w którym wszystkie później wyosobnione sztuki, jeszcze nierozwinięte i nierozłączone obok siebie spoczywają".

Wiele słuszności w tym dosadnym sądzie i może tu leży przyczyna, dlaczego Goncourtowie, zanim wyrafinowanie ogółu dosięgło poziomu ich dzieł, tak długo nie mogli się doczekać sławy.

Przyszła wraz z majątkiem dopiero po śmierci Juliusza. Zdobył ją Edmund swojemi po-

wieściami i pamiętnikiem, dziełem istotnie niebywałem w tego rodzaju literaturze, a przez dzieła starszego brata ta sława opromieniała wraz i utwory ich wspólne. A jeżeli uprzytomnimy sobie miłość braterską Goncourtów, jak Edmund pragnął sławy dla Juliusza tylko, to spóźnienie się laurowego wieńca nabiera — bądź co bądź — niezwykłej tragiki. Zrazu też w Edmundzie powstała myśl zaniechania pracy literackiej, lecz natura autorska przemogła. Zaczął pisać na nowo, mimo bolu, że tak niedawno dwóch ich siedziało nad podobną robotą, mimo myśli, iż gdzieś tam może duch Juliusza z wyrzutem przygląda się jego samotnej pracy. Ślicznie ten swój stosunek do brata i te swoje myśli po jego śmierci Edmund skreślił w powieści „Bracia Zemgano“, przedstawiającej życie dwóch klownów cyrkowych.

Młodszy brat w jakiemś saltomortale, które dla niego starszy wymyślił, łamie sobie nogę, a nie mogąc wobec kalectwa dalej występować wymusza na bracie przyrzeczenie, że i on sztuki swej zaniecha, nigdy jej z innym wykonywać nie będzie. Starszy brat dotrzymuje zrazu przyrzeczenia, ale nie mogąc wyżyć bez zajęcia, które się stało treścią życia jego, w nocy wymyka się do sali gimnastycznej i właśnie kiedy bujał w powietrzu przelatując z trapezu na trapez, spostrzega we drzwiach twarz brata, który przywlókłszy się na czworakach, spogląda na niego z wyrzutem...

Lecz mimo bolesnych wspomnień Edmund Goncourt poszedł dalej obraną drogą, a zapracowawszy na sławę dla siebie i brata, dożył chwili, kiedy uznano go patrjarchą teraźniejszości literackiej. Czy jednak i przyszłość za takich braci Goucourtów obwoła?

Moi przyjaciele za-Uralscy.

Z notatek wygnańca.

Wśród życzliwych mi mieszkańców nędznej osady kozackiej, położonej już za ostatnim wałem Uralu południowego, miałem dwóch szczerze oddanych mi ludzi: jeden był Kozakiem, — drugi — Kirgizem.

Zbliżyło mnie do nich jakieś powinowactwo temperamentów, no i... wspólny ideał polityczny, jeżeli tem można nazwać, to co czuły i czego pragnęły te prymitywne, żywiołowe dusze: jedna nawpół barbarzyńska, druga — prawie dzika.

Piotra Piotrowicza Nielubina, pod-essaułę (sztabrotmistrz) Kozaków Orenburgskich, znałem z widzenia od chwili przybycia mego do W. — Spotykałem go często na spacerach; odrazu rzucił mi się w oczy. Postawy był olbrzymiej, twarz miał czerwoną i nieco obrzękłą, wąs sumiasty w nieporządku, — oczy koloru nieba, trochę senne i zamglone, przez lewy policzek biegła, głęboka szrama. Nosił strój, jak na wojskowego, bardzo zaniedbany, nahajki nie wypuszczał z ręki, a krótkiej fajeczki z ust. Często zataczał się i spluwał, przez zęby, na sążeń.

Czasami widywałem go, jak przelatywał konno ulicami stanicy, pędząc na złamanie karku.

Odbywaliśmy spacery zawsze w jedno miejsce; raz, przy spotkaniu, Piotr Piotrowicz ukłonił się nam nieśmiało — odtąd powtarzało się to stale i ten sam nieśmiały ukłon, to samo rzucenie na nas okiem z podełba, zawsze pełne szacunku ustępowanie z drogi... i nic więcej. Niezwykłe względem nas zachowywanie się obcego zupełnie człowieka niezmiernie nas intrygowało i zaczęliśmy się wypytywać, kim jest ów olbrzymi oficer kozaczy i dlaczego, jest tak różnym od innych. Miejscowy kupiec, u którego, braliśmy rozmaite wiktuały do naszej spiżarni, zaspokoił pierwszy naszą ciekawość. Powiedział nam od razu, że Piotr Piotrowicz Nielubin to »sławny oficer, ale sławniejszy jeszcze pijanica«, następnie dodał: »że to człowiek z charakterem, ale zaprzepaszczony i skandalista«. Sławetny W—ski, opowiedział nam nadto, następującą historję z życia Piotra Piotrowicza. Młodym jeszcze podchorążym będąc, został wysłany p. Piotrowicz z półsetnią kozactwa, daleko za step tobolski, jako dowódzca posterunku dla obserwowania ruchów, niespokojnych jeszcze podówczas hord kirgijskich. Placówka odcięta była od świata morzem stepu; trzeba było żyć bez wódki i bez ludzi, bez żadnej rozrywki godziwej, bądź niegodziwej; tęsknota i nuda śmiertelna dławiły chorążego.

Upędzał się czasami za Kara-kałpakami, — ale to było zabawką dla niego. Sprzykrzył sobie więc prędko pobyt na pustkowiu stepowem. Postanowił wydostać się z tej matni. Traf przyniósł mu kupców handlujących drzewem; zaproponował im kupno drewnianych budowli ostrogu*) — kupcy się zgodzili. Piotr Piotrowicz zabrał pieniądze, rozpędził na cztery wiatry trzymanych w niewoli Kirgizów, — wyprowadził pół-setnię Kozaków w step, dopadł do pierwszej osady, gdzie była wódka, — przepił wszystko co miał wespół z drużyną i jaknajmniej oczekiwany, zjawił się tam, skąd był wysłany. — Skazano go początkowo na śmierć, — potem najmiłościwiej ułaskawiono, tj. zdarto szlify oficerskie i kazano być prostym kozakiem. Los jednak sprzyjał p. Piotrowiczowi. Wkrótce po awanturze,

*) Ostróg — więzienie.

znalazł się w Chiwie, — bił się tam jak lew, wyniósł z bojów parę ran i tyleż krzyżów skutkiem czego przywrócono mu stopień oficerski. Po skończonej wyprawie Chiwańskiej, rzucano nim, jak piłką, na rozmaite strony, wreszcie osadzono w W.. i kazano uczyć młodych kozaków. Nielubin odtąd musztrował kozactwo, pił na zabój i urządzał, popijanemu, burdy: — w tem streszczało się całe jego życie zewnętrzne.

Właśnie dzięki jednej z ostatnich burd jego, która urosła do rozmiarów niesłychanego w kronikach głuchego stepowego zakątka skandalu, — poznałem bliżej Nielubina. Rzeczy taki przebieg miały:

»Towarzystwu« W—skiemu, przodowała wdowa po generale, Nadzieja Kapitanówna I. niewiasta ambitna, chciwa władzy, przytem wielce »języczna i świegotliwa«. Przed nią bili wszyscy czołem: podziwiano jej takt towarzyski i dystynkcję, umiejętność urządzania teatrów amatorskich — co w życiu prowincji należy do spraw wielkiej wagi — oraz inne, podobnie cenne, przymioty. Kto chciał być mile widzianym w »towarzystwie“ — musiał szukać opieki u pani Nadzieji; każdy przeto świeżo przybywający do W. spieszył złożyć jej swą czołobitność i starał się zaskarbić dla siebie względy wszechwładnej matrony. Radzono i nam byśmy w ślady innych poszli, — nie wysłuchaliśmy dobrych rad. Matrona uczuła się dotkniętą, w swej próżności i miała nas wciąż na wątrobie — co gorsza, na swym, bardzo wystrzępionym, języku.

Nielubin nie należał do jej wielbicieli, w domu jednakże Nadzieji Kapitanówny bywał, nazywał ją z całem miastem »ciotką« — grał z nią w karty i spijał się u niej dość często.

Wkrótce po śmierci Aleksandra III-go na wieczorze urządzonym przez Nadzieję Kapitanównę specjalnie dla obgadania tyle doniosłego wypadku, zaszła następująca scena:

Przy stoliku, gdzie grała gospodyni domu i Piotr Piotrowicz, ktoś odezwał się o nas, gdyż była wogóle mowa o »wrogach tronu i rządu«. Pani Nadzieja, rada okazji, zaczęła swoją gorycz wylewać na nas, z początku ogólnikami, później bez ogródek, mówiąc wprost, jako o takich, co są »zawsze p r z e c i w t r o n o w i i żadnej władzy nie uznają«.

»Ot nasi Polacy — zesłańcy — mówiła — wyobraźcie sobie państwo, dotychczas nie byli u mnie«.

Wszyscy podzielali oburzenie dostojnej matrony, jeden tylko Piotr Piotrowicz, na wpółpijany zresztą, milcząc obojętnie, słuchał potępiających nas głosów.

Tak, tak! — trajkotała wciąż, podniecając się coraz bardziej Nadzieja Kapitanówna — dotychczas nie raczyli przyjść do mnie! a w mieście już trzeci miesiąc siedzą. Marne polaczyszki — ciężko im zebrać się do mnie! - do mnie, której mąż, gdyby nie śmierć nagła — (tego nigdy nie zapomniała dodać) — zostałby z pewnością t a j n y m s o w i e t n i k i e m.

— A tyby »ciotka« — sama ich pierwsza odwiedziła — odparł nagle na to Piotr Piotrowicz.

Wszyscy osłupieli, posłyszawsy te słowa, Nielubin zaś, podnosząc głos i waląc pięścią w stół, prawił dalej:

— Tak ciotka, ty im powinna pierwsza c z e ś ć o k z a ć, ty tutaj wielka pani, — a oni w cudzej stronie.

Ale, pozwól w czem rzecz? Cóż z tego, że twój mąż byłby tajnym sowietnikiem — a oni wzbuntowaliś i byli przeciw tronowi. Twój mąż nie wzbuntował się, a zawsze taki złodziejem był — ale oni nic nie ukradli. Ty powiadasz: że ty rzeczywista statska sowietnica. Tak cóż z tego? z nich każdy jest rzeczywisty statski przestępca polityczny, — a to więcej znaczy. Zresztą, czort ciebie zabierz — choć ty i rzeczywista generalsza, ale ty ich nie warta, bo ty głupia i zła baba, gdyby ty była dobra, toby ty ich do siebie poprosiła... Ot ja chciał do nich pójść, ale bał się, bo ja skotina i pijanica, — ale teraz pójdę, choć oni i byli przeciw tronowi...

Co powiedziawszy schwycił talję kart i nadomiar złego, cisnął niemi tak o stół, że połowa znalazła się na zdumionem, purpurowem obliczu pani Nadzieji...

Nielubin nie czekał następstw słów swoich i zataczając się, opuścił zebranie.

Nazajutrz skandal stał się powszechnie znanym i mówiono o nim wszędzie — opowiedziano i nam z najdrobniejszymi szczegołami. Wszyscy byli zdania: od czasu sławnego przepicia rządowego ostrogu, większej awantury nie miał Piotr Piotrowicz na swojem sumieniu. Utrzywano, że nie ujdzie mu to na sucho.

Nazajutrz także, kiedyśmy wieczorem zaczęli rozważać zajście całe i mówić o następstwach, jakie mogło dla nas i dla naszego orędownika, — ktoś walnął silnie nogą w drzwi i stanąwszy zgięty, w nizkiej naszej chatce, prawie we dwoje, odezwał się od progu przytłumionym głosem:

— Mam zaszczyt przedstawić się: podessauła Piotr Piotrowicz Nielubin — chociaż sam pijanica, ale ludzi dobrych nie dał skrzywdzić.

Usadowiliśmy niespodziewanego gościa i zaczęliśmy mu dziękować, za jego interwencję, w sprawie naszej.

Piotr Piotrowicz prędko jednak skierował rozmowę w inną stronę i zwracając się do mnie rzekł:

— Wy, Władysławie Juljanowiczu, nie dziękujcie mi, bo nie ma za co — ja nie takie skandale robił, to z głupstwa i wściekłości; lepiej okażcie mi serce i pomoc! Ot pomów ze mną dobrze, po ludzku i naucz czego... bo ja tu żyję,

jak bydlę i piję tylko strasznie... ale i to już się sprzykrzyło i nie pomaga... Ot mówmy o polityce... w głosie jego odzywał się akcent nieśmiałcj prośby, w mętno-niebieskich oczach powstawały ognie czyste i gasły, jak iskry krzesane w ciemności. Nie wiedziałem o jaką politykę mu chodzi... Zaczęliśmy jednak mówić. — Zahaczyliśmy o Decembrzystów i o rok 48, póżniej o Hercena i Ogarewa, o Bakunina i Tkaczewa, i o nowsze czasy i nowszych ludzi, znanych mi bądź osobiście, bądź ze słyszenia.

Piotr Piotrowicz wciągał dźwięki mowy mojej całą swą istotą: chciwie połykał każde zdanie, każdy fakt opowiadany; herbaty nawet nie pił; od czasu do czasu mruczał coś sobie z cicha i powtarzał, nie wiem dlaczego: ustęp ze znanego epigramatu Puszkina:

Mickiewicz Lach,
Kostiuszko Lach i t. d.

Gdy wreszcie powiedziałem mu, że znałem bliżej Wierę Zasulicz, Stepniaka, pułkownika Sokołowa, Plechanowa i innych rewolucjonistów rosyjskich, a ze starym Żukowskim, niegdyś sekretarzem Bakunina, żyłem w przyjaźni, — zerwał się na równe nogi i zrobił taki ruch ręką; jakby chciał mi zaprzeczyć i powiedzieć, że go oszukuję.

— To ty, ich znał wszystkich! Aj da, Władysław Julijanowicz — tego ja nijak się niespodziewał!

A ja o nich słyszał tylko kiedyś, — a jednego takiego, jak oni, znał. Raz tylko widział, było to w Charkowie, ja wtenczas do pułku naszego był przykomenderowany, zaraz jak powrócił z pod Skobelewa. Poznał tam studentów, dobry był naród i gorący, to oni mnie kiedyś pokazali tego, co to później zabił generała Krapotkina.

A później – pamiętam, — ciągnął dalej Nielubin — unoszony przypomnieniami — kazano nam chłopów bić. Aj, co się ze mną wówczas działo! Latałem na koniu, z nahajką w ręce, jak opętany, zapomniałem słów komendy i tylko przyskakiwałem wciąż do setni, krzycząc chłopcom nad uchem: w powietrze wal szelmo nahajką, bo ja ciebie zaćwiczę! Wspomnienia rozgrzewały Piotra Piotrowicza, coraz bardziej. Podsunąłem mu wówczas sztof z wódką, zachęcając do wypicia kieliszka. »Daj spokój — odrzekł odsuwając sztof ręką — dość ja tego świństwa jeszcze w życiu wypiję — tu nie godzi się, grzech byłby! — ot, ja lepiej waszej herbaty się napiję, — a ty mów co wiesz. Długo jeszcze mówiłem Piotrowi Piotrowiczowi, o tem, com wiedział a co jego tak roznamiętniało.

(Dok. nast.). *W. J. Van Gryef.*

NURTY.

przez

CEZAREGO JELLENTĘ.

(Dokończenie).

Lecz tu spotyka go cios, którego się najmniej spodziewał. Przybywającemu na progu nieledwie oznajmują, że żona go opuściła, a dziecko umarło. Jest to dlań uderzenie piorunu, niejako naturalna kara za wieczyste i wyłączne oddawanie się samemu sobie: Na domiar dolatuje go urywek rozmowy Deli z ojcem, w której ten ostatni piętnuje poetę mianem zabójcy własnego dziecka. Te słowa są ostatnim na Stefana wyrokiem; wystrzałem z rewolweru odbiera sobie życie.

Czy odebrał? Nie, ten nieszczęśliwiec nie potrafił nawet dobić się należycie. Uratują go, żyć będzie, i litość zbiera gdy się pomyśli, że rozpocznie się dlań znowu nowa serja mąk.

Jeśli zadaniem autora było przerazić czytelników obrazem wybujałego egoizmu w ponętne szaty przybranego, to osiągnął swój cel w zupełności. Ten poeta rozmiłowany w wielkości swego ducha, ten przeczulony nerwowiec-egota, jest wyśmienitym sygnałem, czerwoną chorągiewką, która wskazuje: tu — baczność!

Znamiennę cechą naszych czasów, chorobą, która głęboko puściła korzenie wśród inteligencji, jest samokrytycyzm. Pozory ma niby bardzo dodatnie, skoro jednak zagnieździ się w czyim mózgu przerabia człowieka na maniaka w pewnym sensie, lub niedołężnego sceptyka. Zaczyna się to samokrytyką i krytyką otoczenia, wdraża do ciągłego czuwania nad sobą, a kończy ostatecznem zwątpieniem we własne siły i, co za tem idzie, niedołęstwem; lub zatopieniem się w sobie, egoizmem bez miary i granic. Ten ostatni wypadek widzimy w mistrzu Stefanie. Osobistość to bezwątpienia o szerokim zakroju; żądny wielkich rzeczy, rwący się ku wzniosłym ideałom, nie znosi żadnej tamy szlachetnym ludzkim prawom. W gruncie rzeczy jednak rozmiłowany jest w samym sobie. W bolach ludzkości boleje przedewszystkiem nad samym sobą, w niedołęztwie ustaw świata widzi głównie swoją krzywdę. Pragnie bezgranicznej swobody, ale mało go to obchodzi, że przytem podepce czyjeś prawa, i że szczęście dla siebie zbuduje na fundamencie ludzkiego nieszczęścia.

Dziwnie się w nim kłócą ideały szczęśliwego i wzniosłego bytu ludzkości z pomiataniem prac, ku temu celowi skierowanych. Zrazu wydaje się być tylko próżnym i samolubem, pogrążonym we własnym wewnętrznym świecie, marzenia jednak haszyszowe odkrywają nam, że tęsknił ku innym ideałom, ku widnokręgom nad-

ludzko szerokim. Skąd więc ów wstręt i pogarda dla wszelkich objawów społecznej pracy? Na tym punkcie autor nie jest konsekwentny z własnem założeniem; jedno z dwojga: albo jego bohater jest czczym deklamatorem, w gruncie rzeczy własne tylko rany widzącym — albo kalekim ptakiem bez skrzydeł, którego podniebne przestrzenie wabią z daleka. W pierwszym razie nie może być podobnych marzeń haszyszowych — w drugim za wiele samolubstwa i za mało współczucia dla spraw szerszej natury.

Oprócz wykazanej powyżej tendencji autora, w »Nurtach« przebija jeszcze myśl inna, a mianowicie jak zgubnie jest zrywać stare tradycje i płynąć przeciw prądom. Tak sam poeta, jak i Dela żywym są tego obrazem; ta ostatnia głośno przyznaje sobie niedorzeczność własnego zboczenia z utartych dróg. Dziwna rzecz! Jakgdyby śmiałość nowych wyznań sama w sobie była niedorzecznością, jak gdyby kierownikiem i sędzią ludzkich czynów nie były niewzruszone i nieśmiertelne prawdy po wszystkie wieki jedne i te same. Utarte, stare gościńce, lub przekładanie dróg nowych, to tylko stosunek nasz do prawd, to tylko drogi do celu dalsze lub bliższe. Dela ani razu nie zastanowi się nad tem, że miłość ich wyrosła na krzywdzie kogoś trzeciego, lecz tylko wyrzuca sobie, że zerwała z dawną tradycją! Jak gdyby w ich miłości występkiem było zejście z utartych dróg, a nie krzywda ludzka.

W tym smutnym, gorzkim utworze niewiele jest dodatnich typów. Bielski, ojciec Deli, nader sympatyczna osobistość, lecz zaledwie paru rysami jest skreślony; również i przeciwstawienie Stefana, brat jego żony, czynna energiczna natura, poważny działacz społeczny parę razy ukazuje się zaledwie To się przyczynia, że Nurty robią wrażenie przykre, gnębiące, niemniej czytają się z zajęciem i jako ciekawe, a trafne studjum psychologiczne i jako jaskrawy objaw egotyzmu, który gdy staje się najsilniejszym czynnikiem duszy z porządnego człowieka nawet może uczynić — potwora,

„Dramatyczne ogniwa« pisane są wierszem białym, rymowanym w niektórych ustępach. Sceny bywają silne i wzruszające (w Tatrach — poeta i Dela — Bielski w IV akcie) jednak całość wrażenia piękna nie wywiera. Chłód i maniera wyglądają zewsząd. Czytaniu przeszkadza, rzecby można, jaskrawa napuszoność stylu. Nieraz z pod długich omówień, górnobrzmiących frazesów dłuższy czas doszukiwać się musimy myśli, któraby się w paru prostych słowach wyłożyć dała. Lecz myśli tej doszukiwać się można i — warto.

W. Dalecka.

Ibsen w ostatnim okresie swej twórczości.

IV.

Obok tych dziwactw psychologicznych istnieją inne, daleko gorsze. W »Pani Morza« zjawia się obraz zapomnianego już marynarza (»obcego człowieka«), w wyobraźni Ellidy w całej swej potędze właśnie w czasie, gdy »obcy człowiek« sam wraca do Norwegji i dowiedziawszy się o jej zamęzciu, postanawia mimo tego, zabrać ją do siebie. Zauważono wprawdzie, że zjawienie się obrazu w tym właśnie czasie da się wytłumaczyć stanem Ellidy, poprzedzającym urodzenie dziecka; dziwnym jednakże jest przypadek, że w tej a nie w innej porze, »obcy człowiek« przybywa do Norwegji. Wykombinowanie i podkreślenie tego rodzaju faktu musi mimowoli nasuwać czytelnikowi myśl — przyczynowego związku wydarzeń, zwłaszcza, że nie ma w sztuce ani jednego ustępu, któryby takiemu przypuszczeniu zaprzeczył.

Powyższy »przypadek« ma być zapewne wynikiem psychicznego oddziaływania z oddali; Ibsen atoli nigdzie wyraźnie nie zaznaczył, jak o tem zjawisku myśli. Również niejasnem bywa stanowisko poety do etycznych twierdzeń jego bohaterów. Przyczyna tej niejasności leży także w zamiłowaniu jego do symboliczno-alegorycznego traktowania rzeczy. Coś symbolicznego znajdujemy w każdym prawie utworze Ibsena. Tak np. »Dzika kaczka«, która raniona wystrzałem, pochwycona i z swobodnych przestworzów przeniesiona w ciężką atmosferę poddasza, grubieje i tyje, staje się symbolem owych osób dramatu, które złamane w rdzeni życia, prosperują w ciężkiej atmosferze kłamstwa. Symbolika tutaj łatwo jest zrozumiałą; natomiast w »Budowniczym Solnessie« roi się od alegoryj, przez które trudno się przecisnąć i trudno je wytłómaczyć.

Ale i momenty akcji nie zawsze w dostatecznem postawione świetle. Ibsen nie rysuje silnemi, wyraźnemi linjami, są to lekkie kreski ołówkiem, a zamiast wyraźnych szczegółów występują rozmaitego rodzaju nawpół ukryte znaki i napomknienia. Na dowód tego niech posłuży jeden z ustępów w »Upiorach«, gdzie Ibsen komunikuje czytelnikom wypadek z przyszłości.

Oswald ma rok lub 2 lata, gdy matka jego opuściła męża. Nigdzie jednak Ibsen wyraźnie o tem nie pisze, trzeba to sobie wykombinować z jakich ośmiu stronnic najrozmaitszych szczegółów. Raz dowiadujemy się, że pani Alving opuściła męża zaledwie po roku wspólnego z nim pożycia; na tej samej stronicy czytamy, że jutro jest dziesiąta rocznica śmierci męża, kilka stronnic dalej napisano znowu, że małżeństwo trwało ogółem lat 19. Według tego liczyć wypada, że pani Alving wyszła za mąż przed laty 23, a opuś-

ciła męża przed laty 28. Na innej znowu stronicy słyszymy, że Oswald ma lat 26—27. Jak widzimy, jest w tych cyfrach bałamuctwo, które zwłaszcza ze sceny trudno sobie skombinować. A przecież idzie tutaj o ważną bardzo dla dramatu sprawę. Cała ta maniera przeszkadza wraże iu.

Ibsen ma niejednokrotnie sposobność opowiadania przeszłości. Jeden z krytyków wykazał, że treść Nory odpowiadałaby raczej formie romansu, niż dramatu, a to samo da się powiedzieć i o innych sztukach Ibsena. Rozwój ich treści ciągnie się niejednokrotnie lata całe, a należycie ją oddać możnaby tylko w bogato wyposażonej szczegółami, krok za krokiem rozwijającej się powieści.

Nie wszystkie przedmioty dramatów ibsenowskich są tego rodzaju, atoli większa ich część należy niewątpliwie do nadających się bardziej do formy, opowiadania niż rzeczy scenicznej, przedewszystkiem zaś Upiory i Rosmersholm.

Ibsen potrzebował przedmiotu tych dramatów do wypowiedzenia swych ideji etycznych. Jest on atoli w pierwszym rzędzie dramatykiem, dalej chciał on specjalnie w omawianym okresie tworzyć sztuki sceniczne, a jego ideał dramatu wymaga możliwie największego skupienia; wszelkie te sztuki rozgrywają się w przeciągu kilku dni. Nie pozostało mu więc nic innego, jak pewną część materjału oddzielić jako rzecz, poprzedzającą wydarzenia na scenie, traktować ją jako przeszłość, z której właściwy dramat się urodził. Przeszłość tę podaje Ibsen jako szereg nagich faktów, które na scenę jako część widocznej akcji wprowadza. Załatwia się on z nimi, jak gdyby bez przymusu, okazując pod względem komunikowania ich publiczności prawdziwe mistrzowstwo. Djalog rozwija się w sposób naturalny aż do chwili, gdy ten lub ów niezbędną czuje konieczność poruszenia przeszłości — w sposób krótkiej wzmianki lub dłuższego opowiadania; i pod tym względem umie Ibsen bardzo zainteresować czytelnika. Zaraz na początku sztuki słyszymy jakąś wzmiankę, dzięki której przeczuwamy, że coś jest w przeszłości, z naprężeniem więc czekamy odkrycia tajemnicy. Ale i to odkrycie nie odbywa się odrazu; z początku dowiadujemy się zaledwie jakiejś drobnej cząsteczki, równocześnie jednak czujemy, że poza tem jest coś gorszego, coś ważniejszego. I tak stopniowo dopiero dochodzimy do prawdy, a sposób ten oddziaływa nadzwyczaj na nerwy czytelnika — jesteśmy formalnie przejęci strachem, a strach ten wyrasta w miarę tego, jak się zbliżamy do ostatecznego odkrycia całej przeszłości.

Jak powiedziano, Ibsen pod tym względem jest mistrzem; tego rodzaju metoda ma jednakże i swe ujemne strony, szkodzące akcji. Jeżeli osoby poboczne niejednokrotnie cierpią nie z własnej winy, to zato osoby główne same zawsze są budowniczymi swych losów; jak oni sobie postępują, że taki lub owaki spotyka ich los, o tem dowiadujemy się z opowiadania, a nie widzimy tego na scenie, a to niewątpliwie jest wadą, ponieważ tem tylko przejmujemy się na prawdę, co się przed naszemi rozgrywa oczami.

Z tem wszystkiem jednakowoż, jest to zaznaczono powyżej, Ibsen jest mistrzem w opowiadaniu szczegółów z przeszłości, wywołując nieraz formalny przestrach u czytelnika, a pierwsze pod tym względem miejsce zajmują Upiory. Opowiadana przeszłość odgrywa ważną rolę we wszystkich dramatach, tylko Wróg ludu zupełnie jest wolny od tego.

Ibsen wielkim jest artystą. Umie kreślić pełne życia charaktery, rozporządza wszystkiemi środkami, aby człowieka poruszyć do głębi. Atoli rodzaj wrażenia — powiada krytyk niemiecki — jest tak dręczącym, że mimo podziwu odwracamy się do niego.

Przegląd pism.

Przegląd pedagogiczny pismo dwutygodniowe Nr. 6—12. Warszawa 1896.*)

II.

W rozprawie pt, »Stowarzyszenie matek«, którą redakcja zamieszcza »ze względu na pewną świeżość poglądów i argumentacji autora« J. K. wyraża przekonanie, że ruch emancypacyjny kobiet znamionujący się walką o ich prawa obywatelskie, jest bądź co bądź skierowany przeciw macierzyństwu nie wchodząc w to, czy walka ta jest świadomą, czy nieświadomą, a nadto faktem jest, że ze socjologicznego punktu widzenia »społeczna funkcja macierzyństwa została dziś zepchniętą na szczebel najniższy, na stopień prawie czynności organicznej«. Z uwagi na najdonioślejszą dla społeczeństwa produkcję: produkcję charakterów potrzeba nadania macierzyństwu znaczenia i form społecznych, potrzeba jej uspołecznienia w tej formie, iżby kobieta nie tracąc swej niezależności, mogła zarazem oddać się pracy wychowawczej, do której biologicznie najbardziej jest usposobiona. Autor proponuje zakładanie ochronek, któremiby kierowały stowarzyszenia matek, a w miarę ich wzrostu gminy i państwa rozciągnęłyby na nie swą opiekę. Oto wynik wywodów autora, które (słuszność tu po stronie redakcji »Przegl. pedag.«) kwestji niezależności kobiet zwłaszcza w odniesieniu do niezamężnych i bezdzietnych nie rozstrzygają, ale natomiast mocą swego szerokiego tła socjologicznego i dużej ścisłości rozumowania pozwalają w rzecz gruntowniej wniknąć. — Niemniej zajmującym tak ze względu na temat i jak i na wypowia-

*) Ob. Tydzień nr. 14 z dnia 6. kwietnia 1896.

dane sądy jest artykuł tego samego autora pt. »Filantropja i wychowanie«. W stosunku dzieci do założycieli ochronek i pobierających stypendja do fundatorów lub rozdawców tkwi pierwiastek uczucia łaski zamiast uczucia powinności społecznej. A więc stypendjum dajmy na to jest pożyczką, którą pobierający bez upokorzenia przyjmuje świadom obowiązku spłacenia w życiu późniejszem pracą społeczną. U nas w Galicji, gdzie fundacji stypendyjnych mamy stosunkowo dosyć a stypendja są niestety w przeważnej części synekurami dla protegowanych, dyskusja na temat powyższy nie byłaby zbędną. — Nad sposobami zajęcia chłopców w chwilach wolnych od nauki zastanawia się p. Em. K., zwolennik pracy ręcznej, a p. Antoni Potocki w żywo napisanym artykule, wychodząc z zasady, że nie godzi się ze stanowiska społecznego odmawiać dzieciom w miesiącach wakacyjnych możności »odnawiania się w słońcu« porównuje usiłowania podjęte na tem polu u nas i zagranicą. — P. W. Osterloff rozpatruje dzieła belletrystyczne francuskie, które można bez obawy dać do rąk młodzieży dorastającej (głównie ze względu na dojrzewanie płciowe) oraz zwraca się z prośbą do czytelników pisma, aby dla ułatwienia pracy nadsyłali mu streszczenia dzieł znanych autorów wszystkich literatur i odpowiedniej treści. Wreszcie w rubryce p. t. luźne kartki potrącono przygodnie o rozmaite zagadnienia pedagogiczne. W rubryce z ruchu zagranicznego p. W. Wojnarowska przedstawiła stan obecny uniwersytetu francuskiego zarówno pod względem formalnym, jak i pod względem wpływu jaki wywiera na społeczeństwo, nie szczędząc przytem nierzadko barw ciemnych. W tej samej rubryce dr. Zygmunt Samolewicz znawca, którego kompetencja nie ulega wątpliwości, podaje wiadomości o szkolnictwie galicyjskiem. Pierwszy swój artykuł poświęcił dr. S. szkołom elementarnym w Galicji oparłszy się na sprawozdaniu Rady szkolnej krajowej przedłożonem sejmowi podczas ostatniej sesji. Rzecz ta nie przekracza ram sprawozdania cyfrowego. Gruntowniejsze jest sprawozdanie o stanie gimnazjów i szkół realnych, szkicowa tylko rzecz o szkołach przemysłowych.

W każdym nrze, jak zwykle, oceny najnowszych książek, a nadto obecnie wyczerpujące notatki o wystawie hygienicznej w Warszawie.

Z powodu setnej rocznicy urodzin Jachowicza podał W. O. (sterloff) krótki, wyrazisty obraz działalności znakomitego pedagoga.

J. A. Sierpniak.

Rozbiory i sprawozdania.

Karol Falkiewicz: Monografja powiatu gródeckiego. Gródek nakładem gród. Rady pow. 1896.

Niedawne to jeszcze tak bardzo czasy kiedy jako nowość i zasługę podnosiło się fakt, iż nauczycielstwo szkół średnich poczyna brać udział w twórczym ruchu naukowym. Dziś z postępem całego społeczeństwa, tamte sfery dla ruchu tego są już stanowczo pozyskane, a nawet poszliśmy o krok dalej i dziś z uznaniem zapisać możemy, że w te same ślady idzie obecnie nauczycielstwo ludowe.

Pojawienie się tego rodzaju książek, jak wymieniona w nagłówku jest stanowczym tego dowodem. Wprawdzie p. Falkiewicz w hierarchji nauczycielskiej zajmuje jedno z naczelnych stanowisk, wprawdzie jest człowiekiem o uniwersyteckiem wykształceniu, jednak odwróciwszy na wspak fakt, który się zaprzeczyć nie da, otrzymamy na każdy sposób wynik bardzo pocieszający: iż ludzie o wyższem wykształceniu i o aspiracjach naukowych, wstępują obecnie w szeregi pracowników dla oświaty ludowej.

Tego rodzaju nadto książki co p. Falkiewicza zapełniają dotkliwą lukę w naszej literaturze, w której znawstwo własnego kraju jest przez nieliczny poczet dzieł reprezentowane. A wielkie syntetyczne dzieło nie może powstać, dopóki okolica po okolicy nie opracuje się tak całego obszaru dawnej Polski w monografjach jak p. Falkiewicza. Za kordonem tego rodzaju monografje mimo trudniejszych warunków nie są absolutnie nowością, u nas ruch na tem polu ożywił dopiero zeszłoroczny konkurs Wł. Dzieduszyckiego na monografje dowolnych powiatów Do nabytków z owego konkursu należy też praca p. Falkowicza, która otrzymała jedną z dwóch rządowych nagród.

Zasłużyła ona w zupełności na to uznanie. Materjał bowiem zawarty w książce, nie jest samym tylko zbiorem luźnych powierzchownych szczegółów, zebranych przez człowieka, który przeszedł powiat wzdłuż i wszerz, lecz rozsnuty na tle teoretycznych wiadomości autora, nabiera istotnej, naukowej wartości.

Książka, zaopatrzona w skorowidz, który nadaje jej także encyklopedyczną wartość, pozwalając znaleść z łatwością opis każdej poszczególnej miejscowości, dzieli się na trzy części: I. Budowa gleby. II. Nawodnienie, klimat. III. Statystyka (komunikacja, płody, przemysł) opis topograficzno-statystyczny poszczególnych gmin i wreszcie obrzędy weselne i wigilijne. Jak widzimy zatem nie pominięto żadnej ze stron, która do pełnej charakterystyki powiatu posłużyćby mogła.

J. Zgoda.

Wiadomości bibljograficzne.

Likowski Edward. Unia Brzeska (r. 1596). Opowiedziana przez x. Biskupa... sufragana poznańskiego. Poznań 1896. Nakładem autora. Str. XX i 424.

Schnür-Pepłowski Stanisław. Z tajnego archiwum. (Kartka z dziejów Galicji). Lwów. Nakładem spółki wydawni-1896. Str. 110.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.